

Młodzieńczy Lot

wrzesień —
październik
1933

Czasopismo wydawane
staraniem Gminy Szkolnej
uczenic Państwowego
Gimnazjum Żeńskiego
im. E. Szchanieckiej
w Łodzi

Nr. 21

Rok V



Na zdjęciu widzimy nasze „Osiedle“.

Są już mury, dach i ramy okienne, brak tylko wykończenia. Aż wierzyć się nie chce, że to już, w tak krótkim czasie, ani się człowiek, jak to mówią, nie obejrzał i gmach już stoi. Piękny, wysoki i taki drogi, i kochany bo... nasz! Swoją własny! Tak bardzo przyjemnie jest patrzeć na te z dnia na dzień rosnące mury i jednocześnie takie dziwne myśli przychodzą do głowy..., że przez ten gmach przejdzie dziesiątki i setki pokoleń, że wszystkie znajdą tu słońce, radość i szczęście. I... że wszystkie nauczą się tu kochać Polskę. Radość i duma rozpierają nam serca! Nieprawda?

Red.

Lato

Hen, daleko na zachodzie
Krwawe słońce lśni
I w płynącej wartko wodzie
Jak zakłęte śni.

Jasny błękit się uśmiecha,
Opowiada baśń,
W sercu rośnie mi uciecha
I przeczysta jaśń.

Chłodna rosa drży na kwiatach,
Mieni się jak łyż,
Ziemię naszą w barwnych szatach
Otulają sny.

W kawałeczki Pan Bóg ciszę
Drze i rzuca w świat,
Jak oddycha nawet słyszę
Czarnej ziemi szmat.

Wkrótce gwiazda zajaśnieje,
Zgaśnie życia pan,
W ciemnym zmroku poszarzeje
Złoty zboża łan.

Senna mara chłodne dłonie
Złoży na mą dłoń,
Siecią marzeń mnie owionie,
Schyli moją skroń.

Gdy świt niebo zaróżowi,
Pójdzie sobie hen —
Ja zbudzona smutnie powiem
„Prędko mija sen“

Helena Prądzyńska (VIa).

O Janie Kasproviczu wspomnienie

Z okazji przeniesienia zwłok
do mauzoleum na Harendzie.

Pamiętam 4. VIII. 1926 r. — dzień pogrzebu Jana Kasprovicza. Leżał cicho w swojej pracowni na Harendzie... Potem górale wynieśli trumnę z tego jasnego i cichego domu, który tak ukochał dostojny Zmarły. Przenieśli Go przez kładkę, przechodząc mimo Jego ulubionej ławeczki, na której siadywał i dumał, wsłuchany w szum Dunajca, ustawili na wozie-karawanie najdroższą trumnę i smutny, żałobny pochód ruszył do Zakopanego, na stary cmentarz. Pochód był ogromny, ale ja zapamiętałam tylko górali, którzy Mu hołd składali.

Pogoda była precudna, niebo jasne, błękitne, a góry uroczyste, srebrne. I przez całą drogę nie było żadnej zmiany. Dopiero, gdy trumnę ze zwłokami Jana Kasprovicza wnoszono do kościoła, nad Giewontem zawisł czarny obłok, który rzucał ponury cień. A potem gdy w kościele odbywało się nabożeństwo, zapłakało niebo, zapłakało Zakopane i góry nad zwłokami wielkiego gazdy. Góry oddały Mu swój hołd. Gdy zwłoki wnoszono z kościoła, pogoda była znów jasna i góry znów były piękne, poważne i uroczyste. Ruszył żałobny

pochód na Kościeliską, na cmentarz, do grobu Doktorostwa Dłuskich.

— I dziwne! Właściwie pogrzeb Jego nie zrobił na mnie wrażenia ponurego, żałobnego, przeciwnie, wydał mi się nawet bardzo jasny... Tylko w głębi duszy mojej coś płakało, płakało... Jana Kasprowicza nie było tu, na ziemi, między nami. Odprowadziliśmy Go do obcego grobu, nie do tego samotnego grobu, w którym On chciał spocząć, lecz tam, gdzie leży Sabała, dr. Chałubiński, Witkiewicz — na stary cmentarz. On chciał zostać u siebie, na Harendzie... i w tym roku dopiero spełniło się Jego ostatnie, przedśmiertne życzenie. Wrócił do swego domu.

Tylko, że nie będzie już siadywał w oknie swej pracowni, w którym, tak jak wtedy, gdy żył, kwitną nasturcje, i nie będzie patrzył na góry, które są takie cudne.

Kasprowicz od 1924 roku był bardzo ciężko chory i prawie przykuty do fotela. Ogromnie lubił leżeć u siebie w pracowni, w której wszystkie ściany były zastawione szafami pełnymi książek. Był pogodny, miał humor, a jednak nie opuszczała Go myśl o śmierci, o której mówił z całym spokojem. W 1924 roku pisał swój tom poezyj: „Mój świat“, który zaczął modlitwą grajka:

„Hej, Panie Boże, coś wielkim
Gazdą jest nad gazdami,
Pocoś mi dał taką skrzypkę,
Co jeno tumani i mami.

Nie umiem Ci grywać na niej,
A jednak wciąż grywać mi chce się,
Że jestem, jak liść ten szumiący
Gdzieś, w niedostępnym lesie.

Któż go tam widzi, kto słyszy,
W tych mnogich drzew rozhovorze?

Liche mi dałeś skrzypeczki
Niemiłosierny Boże!

A jednak, o wielki Panie,
Zlituj się, zlituj nade mną,
Chroń mnie, bym się nie grążył
W jakowąś rozpacz ciemną.

A jeszcze bardziej chroń mię
I od najmniejszej zawiści,
Że są na świecie grajkiwie
Pełni szumiących liści.“

Kasprowicz w utwory p.t. „Mój świat“ włożył dużo miłości i przejawił w nich swoją duszę. Nie chciał być niczem innym w życiu, jak tylko człowiekiem. I był nim, a to jest takie trudne dla człowieka: być człowiekiem!

W życiu był miły, serdeczny i prosty, że nie odczuwało się, że On jest wielkim Twórcą i Mędrce.

A. Turnerówna (VIIb).

VII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych

Na podstawie informacji, udzielonych
Redakcji przez uczestniczkę kongresu
p. Zaborowską.

W dniach od 21 do 28 sierpnia b. r. Warszawa gościła w swych murach wielu gości z zagranicy, jak również z całego kraju. Zjechali się uczeni, profesorowie i nauczyciele na VII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych.

Międzynarodowe Kongresy Historyków odbywały się już przed wojną: było ich wtedy cztery (w Paryżu, Londynie, Rzymie i Berlinie) I-szy kongres po wojnie odbył się w r. 1923 w Brukseli (bez udziału Niemców), następny w r. 1928 w Oslo (już z udziałem delegacji niemieckiej). Wówczas to prof. Tadeusz Zieliński zaprosił w imieniu Polski uczestników kongresu na zjazd następny do Warszawy.

Celem kongresów jest organizacja współpracy międzynarodowej na polu historii i wzajemne zbliżenie przedstawicieli świata naukowego. Zjechali się więc w Warszawie przedstawiciele około 40-tu państw. Przyjechali Włosi, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Rosjanie nawet Hindusi i wielu, wielu innych.

Otwarcie kongresu odbyło się dnia 21 o godz. 11.30 w hallu Politechniki. Sala, udekorowana flagami około czterdziestu państw, wypełniona po brzegi wielojęzycznym tłumem, wyglądała b. uroczyście. Inaugurację zaszczylił swą obecnością P. Prezydent Rzplitej; obecni byli również przedstawiciele Rządu z p. premierem Jędrzejewiczem na czele. Posiedzenie zagał przewodniczący Komitetu Wykonawczego, prof. Dembiński, jeden z najstarszych historyków polskich, przemówieniem, wygłoszonym w pięciu językach. Z ramienia Rządu przemawiał p. premier Jędrzejewicz w języku polskim.*)

Prezesem honorowym zjazdu obrany został Marszałek Piłsudski.

Obrady kongresu toczyły się w sekcjach, których było piętnaście (sekcja historii starożytnej, średniowiecznej, nowożytnej, historii ustroju i t. d.). Językami urzędowymi były: francuski, niemiecki, włoski i angielski, tylko na sekcji historii Europy wschodniej używano również języka polskiego i rosyjskiego. Referatów polskich zgłoszono znaczną liczbę, bo 76, jednak niwyszyskie zostały wygłoszone, natomiast wszystkie wydrukowano w trzynomowym wydawnictwie p. t.: „Polska na VII-ym Międzynarodowym Kongresie Nauk Historycznych“.

* * *

Z okazji kongresu zorganizowano również w gmachu Politechniki Międzynarodową Wystawę Kartograficzną, obrazującą rozwój histo-

*) Patrz Gazeta Polska z dn. 22 sierpnia.

ryczny mapy, oraz obecny stan kartografii w różnych państwach. Urządzono tam także wystawę książki polskiej za lata 1918 — 1933. Delegacja Z.S.R.R. urządziła wystawę książki sowieckiej.

Osobna wzmianka należy się imponującej wystawie zbiorów historycznych Biblioteki Narodowej. W wielkiej sali pięknego, nowoczesnego gmachu przy ul. Rakowieckiej, ozdobionej popiersiami twórcy Biblioteki — Józefa Andrzeja Załuskiego i jej odnowiciela — Marszałka Józefa Piłsudskiego, zgromadzono mnóstwo bezcennych wprost zabytków piśmiennictwa polskiego (rękopisów i druków). Drugą salę przeznaczono na historjografię polską w. XIX, w trzeciej — na piętrze znajduje się wspañiała biblioteka wilanowska.

* * *

Przez cały czas trwania kongresu organizowano dla cudzoziemskich gości wycieczki po Warszawie i do najbliższych okolic (Wilanów), do muzeów, bibliotek, archiwów i na wystawy sztuk pięknych (do Zachęty i Ipsu).

* * *

Końcowe plenarne posiedzenie kongresu odbyło się dn. 27 sierpnia w Teatrze Polskim.

Znaczna część uczestników kongresu udała się do Krakowa, gdzie odbyło się jeszcze jedno posiedzenie w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego. Goście zwiedzili zabytki dawnej stolicy Polski i wystawę pałątek po Janie III Sobieskim, urządzoną na Wawelu.

Red.

Reforma szkolna

Na podstawie wywiadu, udzielonego nam przez Panią Dyrektorkę Dr. R. Pachucką.

Jedną z najaktualniejszych spraw obecnej chwili jest zagadnienie reformy szkolnej. Dużo się o niej słyszy, dużo się o niej mówi, ale w rezultacie wiele z nas nie rozumie jej i nie zna jej właściwego celu. Jaki jest właściwie cel i duch reformy? Na to pytanie dała nam wyczerpującą odpowiedź Pani Dyrektorka. Otóż głównym celem reformy jest wejście programu szkolnego w pewien plan, któryby sprostał tak ważnemu zadaniu, jak uświadomienie, gruntowne zaznajomienie młodzieży z Polską i Jej kulturą. To założenie mają posiadać wszystkie programy szkolne, od pierwszego oddziału szkoły powszechnej począwszy, a skończywszy na liceum.

Młodzież ma wyjść ze zreformowanej szkoły zdrowa fizycznie (stąd nawet i poranna gimnastyka) i moralnie, posiadając gruntownie całkowitą wiedzę, przewidzianą w programie. Nie kładzie się nacisku na specjalne metody nauczania. Każdy nauczyciel ma obowiązek ucz-

nia nauczyć, a czy do tego celu zastosuje on tę, czy inną metodę — to już obojętne. Szkoła musi wychować młodzież na jednostki silne i dzielne, znające swoje obywatelskie obowiązki, umiejące ocenić swój stosunek do państwa. W myśl zasady, że przyrodzone zdolności należy kształcić i rozwijać, reforma szkolna przewiduje umożliwienie młodzieży kształcenia się w kierunku jej zamiłowań i zdolności. W liceach będą wydziały handlowe, matematyczne, nauk historycznych, geograficznych i t. p. Wykształcenie praktyczne można będzie nabyć w gimnazjach zawodowych. Po ukończeniu szóstego oddziału szkoły powszechnej młodzież będzie mogła kształcić się w gimnazjach, a następnie w liceach. Przejście z gimnazjum do liceum będzie naturalną selekcją, gdyż bardzo ważnym tutaj czynnikiem będą zdolności i materialne warunki młodzieży. Aby jednak umożliwić jaknajbardziej naukę jednostkom zdolnym, reforma przewiduje stypendja i bursy dla niezamożnych.

„Przyrodzone zdolności obywateli są bogactwem kraju, a poziom obywateli jest poziomem państwa. A dobro państwa jest najważniejszym postulatem reformy szkolnej“.

. Redakcja.

Koleżanki!

Dajmy dowód, że potrafimy postępować w myśl wielkiej idei Reformy Szkolnictwa, t. zn., że potrafimy być dobrymi obywatelkami kraju.

Dnia 11 września minął rok od tragicznej śmierci bohaterskich zwycięzców Challenge'u 1932 r. ś. p. Żwirki i Wigury. Dzięki ich zwycięstwu Polsce przypadł zaszczyt organizowania następnego międzynarodowego Challenge'u. Uczcijmy więc pamięć bohaterów przez złożenie kilku groszy na fundusz organizacji tego Challenge'u, pokażmy, że młodzież polska rozumie sprawę narodową i interesy państwa. Niechaj to będzie cichym hołdem dla pamięci tragicznie zmarłych bohaterów i niechaj to będzie realizacją ich marzeń.

Postanawiamy więc, że każda z nas składa kilka groszy na fundusz organizacji Challenge'u w Polsce.

Po wakacjach — czyli u progu VII-ej klasy

Po wakacjach... Minęły chwile odpoczynku i słodkiej bez troski. Minęły tak szybko, tak niepostrzeżenie, że dopiero w wigilję dnia rozpoczęcia nowego roku szkolnego uświadomiłam sobie, że to już koniec... Zdawało mi się, że nadszedł koniec nie tylko wesołych, pełnych słońca i uśmiechów wakacyj, ale, że wraz z nimi skończył się

zarazem okres mojej dziecięcej młodości. Miałam wrażenie, że, przekraczając próg VII-ej klasy, wkraczam zarazem w jakąś nową fazę życia, w fazę młodości nie — dziecięcej już, ale dojrzałej. Czułam się starszą, doroslejszą, więcej jeszcze: uczułam się zupełnie dorosłą.

Dlaczego nagle uczułam się dorosłą? Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Wszak do matury jeszcze całe dwa lata. Dwa lata wytężonej pracy, pracy, która ma mi dać więcej, niż to, co już posiadam z lat poprzednich. Często mi się bowiem zdaje, że obecnie jeszcze niczego nie umiem. A więc właśnie te dwa lata mają mnie tyle nauczyć, abym po otrzymaniu świadectwa dojrzałości, miała średnie wykształcenie. Czasami doznaję jednak dziwnie przykrego uczucia: otóż wydaje mi się, że i po maturze niczego umieć nie będę i stanę do życia bezradna jak dziecko...

Uczucia, których doznaję, stoją ze sobą w zupełnej sprzeczności: to boję się, że po maturze nie będę mądrzejsza, niż jestem obecnie, to zdaje mi się, że już obecnie jestem dorosłą, że znam swoje zdolności, wiem, dokąd dążyć, czego od życia mogę żądać, czego się spodziewać.

Najmilszym i najszcześniejszym okresem życia ludzkiego jest podobno dzieciństwo. Nieraz słyszałam, z jakim rozrzewaniem wspominają dorośli swe lata dziecinne, nieraz napotykałam w książkach serdeczne wylewy żalu za bezpowrotnie straconym rajem wieku dziecięcego. Sądziłam, że żal dorosłych jest słuszny. Dziwiłam się co prawda, że okres szczęścia w życiu ludzkim trwa tak krótko, a większą część życia wypełniają troski i znojna praca, ale wierzyłam, że taki jest porządek świata, że szczęśliwe może być tylko dziecko. Teraz, gdy stoję na pograniczu między wiekiem dziecięcym a dojrzałym, gdy się mimo wszystko czuję już dorosłą, teraz sędzę i mocno wierzę, że prawdziwie szczęśliwy może być tylko człowiek dorosły. Dorosły obarczony jest najczęściej troskami, których dziecko nie zna. Czy jednak beztroska jest szczęściem? Nie. Wszak szczęścia zaznać nie może ten, kto nieszczęść nie znał. Choć więc dziecko żyje w atmosferze zupełnej, żadną chmurką nie przyciemnionej, pogody i wesołości, to jednak nie osiąga ono szczęścia. Zresztą nie można mówić o szczęściu w życiu dziecka, gdyż dziecko właściwie jeszcze nie żyje. Dzieciństwo — to dopiero wstęp do życia. Żyć zaczyna człowiek wtedy, gdy staje się dorosły, to znaczy, gdy rozumie sens i cel życia, gdy zdaje sobie sprawę ze swego człowieczeństwa, gdy ma określony w myślach plan działania, słowem, gdy zaczyna brać czynny udział w życiu świata, gdy sam to życie świata powoduje i pędzi je naprzód. Niepowodzenia, troski, nawet klęski nie mogą w zupełności zdusić, zgnieść żyjącego człowieka. Choć pęd jego może osłabnie na chwilę, choć ostrze jego czynu stępuje, to jednak nie zahamuje on żywiołowego ruchu mas. Nie zahamuje, nie zatrzyma, lecz, porwany tym ruchem, zacznie z nim znowu harmonizować, zleje się z nim w szalonym pędzie i w tym pędzie odnajdzie sam siebie. A gdy sam z kolei się przyczyni do wyrwania innych z letargu, gdy sam ulepszy, ureguje

sił doda dalszemu ruchowi, gdy doprowadzi do tego, że niedaleki będzie idealny stan życia ludzkości, wtedy będzie szczęśliwy.

Stoję dopiero u progu VII-ej klasy, Przede mną dwa lata pracy szkolnej, pracy, którą spełniam jako uczenica, idąca wytkniętym przez szkołę torem, niezbyt samodzielna, niezdarna, jednym słowem: dziecko jeszcze...

A jednak czuję się dorosłą. Wakacje, które właśnie minęły, to ostatnie wakacje mego dzieciństwa. Zdaje mi się, że już zaczęłam żyć. I dlatego jestem szczęśliwa.

S. Bermanówna (VIIb).

Burza

Było około godziny czwartej po południu, gdyśmy siedzieli wszyscy na werandzie. Było strasznie gorąco, na niebie nie było ani jednej chmurki. Nikomu nie chciało się odezwać, aż nareszcie Tadek zaproponował, aby pójść kąpać się. Wszyscy zgodzili się i o piątej poszliśmy nad Pilicę. Woda była ciepła, więc kąpiel była wysmienita. Gdyśmy mieli już wychodzić z wody, nagle słońce schowało się. Spojrzałam na niebo: z zachodu nadciągała chmura, a na horyzoncie było prawie czarno. Powietrze było ciężkie i parne, jak zwykle przed burzą. Gdy doszliśmy do domu, było już ciemno, jak w nocy, mimo, że była dopiero godzina siódma.

Nagle zerwał się straszny wiatr, stare świerki ugięły się pod jego siłą, a chmura zaczęła się przybliżać coraz prędzej, grzmoty było słychać coraz wyraźniej. Błyskawice rozdzierały niebo jedna za drugą, grzmoty nie milkły. Byłam cała przejęta grozą i potęgą Wszechnocnego.

Przyszedł moment okropny, w którym piorun, uderzywszy gdzieś w pobliżu, wstrząsnął posadami ziemi, a na niebie ukazała się luna. Paliły się stodoły, napełnione zbożem. Przeniosłam się myślą do tych ludzi, których cały dobytek płonął w tej chwili. Zrobiło mi się ich okropnie żal i łzy stanęły mi w oczach. A tymczasem burza zaczęła się uspakajać, deszcz ustał. Gdzieś tam ukazywały się gwiazdy, od czasu do czasu słychać było jeszcze oddalone grzmoty.

Przestałam się lękać i uspokoiłam się nieco. Burza minęła. Lecz ból i rozpacz, i nędza tych biednych, nieszczęśliwych ludzi, którzy zostali na zgłiszczach swego mienia, nie minęła tak szybko.

Barbara Kopczyńska (Ib).

Hallerowo — Jastrzębia Góra

Czterdzieści par bosych nóg grzęźnie w mokrym piasku. Godzina 6-ta rano. Idziemy plażą z Hallerowa na Rozewie. Długi sznur barwnych trykotów kąpielowych. Nogi wysokie, niskie, szczupłe, grubsze, a wszystkie opalone rra brązowo, ubijają bezustannie i z werwą piach nadmorski. Gdy wzniesie się oczy nieco wyżej — horyzont się rozszerza. Plaża biegnie daleko, daleko złoto-żółtym pasem i urywa się raptownie tam, gdzie zachodzi w morze zielona ściana cyplu Rozewie. Morze — jak morze: błękitne, nieskończone, przecudownie o tej porze spokojne. Zda się, że śpi jeszcze w białawym świetle słońca, które stoi gdzieś niewidzialne po nad linią horyzontu, którą zasłania wysoki, urwisty brzeg, ograniczający z drugiej strony plażę. Wysoka, stroma, piaszczysta ściana. Nie jest ona jednolita. Zbocze jest zupełnie nagie, żadnej roślinności. Widać zato, jakby w umyślnie zrobionym przekroju pokłady, warstwy ziemne, które się na tę ścianę w ciągu wieków składały. Widok tych warstw nasuwa mimowoli myśl o tem, co było kiedyś, kiedy w ciągu długich wieków, które dziś okreсами geologicznymi zowieśmy, nieświadoma swej siły, ślepa potęga przyrody tworzyła te zwały ziemne, nasuwała jedne na drugie i falami morza obmywała, gładziła, aż odsunęła nieco dalej i, rozesławszy przed nią pas przezczystego piasku, zostawiła w tem miejscu, w którym stoi teraz.

Ściana ta urywa się czasem na krótko. W głąb ładu idzie głęboki, o dnie prawie na poziomie plaży, parów. Zbocza jego pokryte są zielonością. Nie odsłania on jednak dalekiego widoku. Skręca gdzieś w bok i znów widać tylko zieloną ścianę.

Gdy oczy, błędząc po żółto-piaszczystej zaporze, trafią jeszcze wyżej, wyrasta przed niemi roślinność, pokrywająca szczyt urwiska. Roślinność ta, to przeważnie trawy, czasem drzewo, lub żółty żarnowiec. A nad tą roślinnością spokojny, cicho-niebieski szmat nieba. Daleko, u samego końca, wśród zieleni wysokopiennego lasu, ponad zboczem, pokrytem bujną, gęstą zielonością, czerwieni się baszta. Wiem, że to latarnia morska na Rozewiu, największa na polskim wybrzeżu. Obok jednak tej świadomości powstaje myśl jakaś o zamku średniowiecznym, o warowni niedosiężnej na cyplu, zachodzącym w morze. Coś, jakby tkwiąca w człowieku odwieczna legenda, budząca się wtedy, gdy na zewnątrz siebie trafi człowiek na coś, co dzięki swemu pięknu, zdaje się być wytworem wyobraźni, czy marzenia. A marzenie przecież, to podświadome szukanie piękna.

Gdy te widoki, spostrzeżenia i refleksje cisną się w głowie, bosc nogi nieustannie depcą piasek lub mokre kamuszki, które fala wyniosła na brzeg; od czasu do czasu drobne falki chłodem oblewają stopy.

Słońce tymczasem zaczyna grzać coraz silniej. Czuje się je wyraźnie na plecach. Na twarzach zaś naszych czterdziestu pielgrzymek

występują kropelki potu. Wydaje się ciągle, że cypel jest tuż, tuż, kilka kroków od nas. Ale to jest złudzenie. Mamy jeszcze jakieś dobre cztery kilometry. Ciągle z prostej pozornie linii wybrzeża wyłaniają się nowe zakręty.

Idziemy.

Coraz częściej napotykamy kamienie, a i z morza wyłania się od czasu do czasu głaz.

Nareszcie dochodzimy do miejsca, w którym plaża się kończy, a dalej pod ścianą zieleni ciągnie się kamienisty wał. Skacząc z kamienia na kamień, uchodzimy jeszcze kawałek drogi i (o, szczęśliwa chwilo!) zanurzamy się w las.

Cień. Chłodno. Droga krętymi schodami idzie w górę. Oto jesteście na górze. Przed nami urywa się las i na polanie stoi w całej swej okazałości latarnia. Obok — zabudowania mieszkalne.

Po chwili też same nogi, które deptały siedem kilometrów piachu, dudnią na krętych schodach latarni. Wdrapałyśmy się na szczyt. Daleko pod nogami leżało Pomorze, dachy, pola, wsie, a między niemi równe, nieskończone pasma dróg. Widać olbrzymią połąć kraju. Oto ziemia, w której życie wre, ludzie pracują, dni płyną. Tak i w tej chwili przecież tam w tej dalekiej nizinie żyją i pracują, rodzą się i umierają. Z wysokości zaś szczytu wieży wydaje się, że ruchu nie ma, że wszystko śpi. Cisza.

Drogi idą prostymi linjami daleko, daleko w głąb kraju.

Po odpoczynku ruszamy dalej. Gładkim asfaltowym bulwarem idziemy na Jastrzębią Górę. Droga jest pusta, więc znów suknie trzymamy w rękach, a na słońce wystawiamy nasze i tak już „przypalone“ osoby w kostjumach kąpielowych.

Z jednej strony drogi, za pasem, porośniętym trawą i jaskrawo-żółtym żarnowcem, leżało w dole ciemnobłękitne morze. Z drugiej strony leżała równina, bardzo do naszych śródłądowych podobna. Wzdłuż drogi napotykało się od czasu do czasu piękne, nowoczesne budowle, bijące w oczy jasnością i blaskiem swych olbrzymich okien.

Minęłyśmy przecudowny „Lisi jar“, który nawet w historii jest słynny z tego, że jakiś tam król (moja wiedza historyczna niestety mi nie dopisuje) kiedyś, przyjechawszy skądś (o nicości niezgłębiona moich wiadomości historycznych!), wysiadł w tym miejscu na ląd.

W największym skwarze południa dotarliśmy na Jastrzębią Górę. Ale gdy stanęłyśmy na krańcu urwiska i spojrzwałyśmy wdół na morze, zapomniałyśmy o tem, że wogóle byłyśmy kiedykolwiek zmęczone.

Pod naszymi stopami morze mieniło się przeróżnymi odcieniami błękitu... Eh, lepiej już nawet tego piękna nie opisywać, bo i tak prawdy w tem nie będzie. Każdy opis będzie za słaby. Proszę mi tylko wierzyć, że to było zupełnie jak w bajce.

L. Granowska (VIII).



Święto Morza

na kolonji T. N. S. W.

Buchnęło ognisko. Z sercem przepelnionem nieokreśloną radością i dumą stanęłam przy niem. Byłam tak przejęta ważnością tej chwili oraz swoją rolą, iż nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Stałam nad zatoką, bo tu właśnie było urządzone ognisko, i wzrokiem chwytalam każdy jej ruch.

O, jak cudna była w tej chwili zatoka! Księżyc odbijał się w niej jak w lustrze, wdali kołysała się mała łódka, a z niej dolatywał odgłos harmonijki. Nie obchodził mnie on. Wsłuchana byłam tylko w szum tali. I im dłużej się wsłuchiwałam, tem wyraźniej słyszałam, iż w szumie tym są ukryte słowa: „Bałtyk nasz, Bałtyk, morze polskie!“ Z głębokiej tej zadumy wyrwała mnie koleżanka, która, szturchnąwszy mnie w bok, rzekła: „Uważaj, za chwilę nasza komedyjka.“ Czułam do niej pewien żal, że przerwała mi moją zadumę, ale żal ten nie trwał długo. Przynęłam się bliżej ogniska i wzrokiem potoczyłam po zebranych tutaj osobach. Były tu koleżanki z naszej kolonji, dziewczęta i chłopcy z kolonji sąsiedniej, władza, Kaszubi oraz goście. Wszyscy wpatrzeni byli w koleżankę, deklamującą wiersz. Gdy spojrzałam na nią, serce mimowoli zabiło mi mocniej. Nieraz już brałam udział w inscenizacjach, ale nigdy nie odczuwałam żadnej obawy. A teraz bałam się, bo nie byłam pewna, czy będę się umiała dobrze wywiązać ze swego zadania, a trudne to było zadanie, bo miało być ono świadectwem mej miłości ku morzu. Wreszcie nasze atrakcje skończyły się i nastąpiły piosenki kaszubskie, które były dla nas prawdziwie miłą niespodzianką i nagrodą. Niejedna z was pomyśli sobie: „co też tam było takiego?“ O, dużo, dużo! Przedewszystkiem była tam wyrażona miłość do swego zawodu, miłość do morza polskiego, a wreszcie miłość do nas, Polaków i do Polski. Czyż to nie dość, by zrozumieć, iż starania nasze nie poszły na marne, że zdobyliśmy nie tylko Bałtyk, ale i jego dzieci Kaszubów, którzy całym sercem przyłągnęli do nas Polaków i do Polski ?!

„Marynarz Słonych Wód“

Halina Hanówna (Ib).

Praca niniejsza została odznaczona na konkursie, urządzonym przez kolonje T.N.S.W., drugą nagrodą.



Obozowe wspomnienia z Kartuz

O bóz zaczął się właściwie nie w Kartuzach, lecz w Gdyni na molu Wilsona — od Święta Straży Przedniej.

Długie, białe szeregi stały ciche, skupione, „frontem do morza“, wpatrzone w dal, w sine fale, uderzające łagodnie o brzeg i w przybijający zwolna „Gdańsk“.

Głęboka cisza i oczekiwanie...

Wreszcie — już — powitalny ryk syren, przybicie statku i rzućenie kotwicy. W chwilę później — hymn narodowy, niesiony daleko przez odpływające fale i P. Prezydent Rzeczypospolitej na pokładzie.

Teraz dopiero następuje właściwa uroczystość: wręczenie sztandaru i ślubowanie:

„...Że prawem naczelnem będzie nam zawsze Dobro, Honor i Potęga Rzeczypospolitej — ślubujemy“. „Ślubujemy“ — powtórzyło gromkim okrzykiem 2000 młodych, pełnych zapału i ognia piersi. „Ślubujemy“ — jeszcze raz odbiło się dalekiem echem, zaświszczało w wiązaniach potężnych dźwigów i lin okrętowych, i rozplynęło się w poszumie fali morskiej, co, odbijając się od brzegu, niosła to ślubowanie młodzieży polskiej daleko, daleko, po za Gdańsk i Szczecin — do obcych mórz i obcych wybrzeży...

* * *

Następnego dnia byliśmy już daleko od Gdyni, w innym uroczym zakątku polskiego Pomorza — w Kartuzach.

Na dość wysokim wzgórzu, na ładnej leśnej polanie rozłożył się obóz: 7 milutkich campingowych domków, zamieszkałych przez równie milutkie „obywatelki“ z całej Polski i jeszcze milszą „komendę“, rozbrzmiewało od 7-ej rano śmiechem i wrzawą stu obozowniczek.

Wogóle cały obóz da się określić jednym słowem — Strasznie milutki (do potęgi -|- ∞). Milutka była komenda, milutka była ranna gimnastyka, poważna i nastrojowa odprawa „w podkowę dokoła masztu“ i uroczyste wzniesienie ręki na powitanie „Sztandarowi cześć!“, miłe były wykłady, wycieczki, zajęcia, miłe (och i jeszcze jak!!!), były posiłki, no, a najmiłsze oczywiście — wiadomo — były ogniska.

Ale o tem, potem, a teraz po porządku.

Hm, tylko od czego tu zacząć?

Powinnam pewnie od zacząć zobrazowania naszej pracy, ale z powodu: szacunek i sympatja — przedtem słów kilkoro o „władzy“. Samosłowo budzi postrach, ale „nasza“ taka nie była — wprost przeciwnie: milutka, taktowna, łagodna, pogodna, zawsze uśmiechnięta, zawsze skłonna do uwzględniania wszystkich naszych próśb i życzeń, człowiek dobrej woli — oto „komenda“ obozu, czyli „obywatelka Helunia“, jak ją zdrobniale wszyscy nazywali. Według niej ustaliłyśmy nową odmianę przymiotnika: łagodna, łagodniejsza, ob. Helunia, o niej śpiewało się też: „my komendę swą kochamy, oj jak kochamy, oj tak kochamy, choć jej czasem nie słuchamy...“

A teraz — „do pracy“. Szła ona zasadniczo w dwu kierunkach: pracy t. zw. realizacyjnej i ideowo-samowychowawczej.

Dla pierwszej grupowałyśmy się według „indywidualnych pociągów“ i zainteresowań w „koła“ np.: Kultury, Opieki nad dzieckiem, Krajoznawcze, Geograficzne, Historyczne, Artystyczne i t. d. Każda obierała sobie ten odcinek pracy, który ją specjalnie interesował, robiła to, do czego miała zamiłowanie i co jej odpowiadało, z tem tylko zastrzeżeniem, że to, czego się podjęła, musiała wykonać solidnie i była za to odpowiedzialna przed „komendą“, całym obozem, no i przede wszystkim — przed sobą samą.

Praca ideowo-samowychowawcza obejmowała wykłady, referaty i dyskusje, zagajane bądź przez gości-wykładowców, bądź przez ob. ob. instruktorki, bądź przez nas. Przytem i tu „Komenda“ uwzględniała zwykle nasze zainteresowania i według nich ustalała tematy zajęć. Tu należy jeszcze wspomnieć o wspaniałych wycieczkach krajoznawczych w najciekawsze okolice naszej Szwajcarii Kaszubskiej.

Poza „dokumentnem zbadaniem“ Kartuz i jego zabytków, widzieliśmy Wieżycę, Ostrzycę, Chmielno, jez. jez. Ostrzyckie, Radzuńskie, Kłodno, Białe, Rekowo, byliśmy na najwyższym szczyście Pomorza: Wieżycy, na wzgórzu Biskupiem, Rekow skiem, Górze Stołowej i in. Obładowane zapasami na cały dzień (słodki ciężar!) lażyłyśmy sobie po cudnych drogach leśnych, nad jeziorami i obok jezior, z góry, pod górę, pod górę, z góry (Polska Szwajcarya), zaglądając niekiedy do chat, witane naogół gościnnie przez ich mieszkańców.

Przez te trzy tygodnie starałyśmy się poznać w miarę możności lud kaszubski, jego charakter i gwara, pieśni i legendy. Nawiązałyśmy z nim serdeczny kontakt, a to głównie dzięki pracy, terenem której była w przeważnej części wieś kaszubska, no, a przede wszystkim dzięki — ogniskom.

Ogniska... Cudne niezapomniane ogniska na polanie Wzgórza Wolności. Odwiedzane skwapliwie i oczekiwane zawsze przez „większą połowę Kartuz“, a przede wszystkim całą dzieciarnię okoliczną, no i — nas, t. zw. przez nich „białe paninki“ (których „ziemska powłoka“ była raczej „wprost przeciwna“, skutkiem działania słońca i różnych „nivei“ i ultrasolów“, ale „gale“ płócienne względnie, czyli „ciemno-białemi“ pozostały).

Kochane były te nasze ogniska (no, bo jak wogóle obozowe ognisko może nie być mile?!), ale takie zupełnie różne od innych poprzednio przeze mnie przeżytych. Mało na nich było wspólnego śpiewania, bo to zawsze spaliło na panewce. Zawsze okazywało się, że jedną i tę samą piosenkę, każda „prowincja“ Rzeczypospolitej śpiewała na inną nutę i innemi słowami. Wobec tego, program ogniska zapełniany był atrakcjami, czyli t. zw. pospolicie „wyglupianiem się“, lub „odstawianiem warjata“. Należy dodać, że owo „wyglupianie się“ było całkiem mądre, „inteligentne“, dowcipne i „w dobrym stylu“, i że najczęściej i najpomysłowiej wyglupiały się instruktorki, czyli „kadra“.

Na tem polu przodowała ona bezkonkurencyjnie i pod względem „bystrości pomysłów“ i wykonania, i tempa, no i wogóle — talentów.

Na ognisko „szły“ rzeczy „stworzone“ dosłownie na chwilę przed ogniskiem lub wręcz improwizowane, co odbijało się oczywiście dodatnio na ich aktualności. W doskonałej satyrze lub parodji znajdowało tu odbicie, całe nasze życie (najmocniej przepraszam za rymy) obozowe.

Począwszy od „turystyki wysokogórskiej“ (windowanie się do łóżek tych co spały „nad poziomem“, czyli górnych pryczach naszych campingowych domków) lub innych „fenomenów“, poprzez różne niedociągnięcia dnia — spóźnione zbiórki, zbyt „jałowe“ dyskusje (różnie tam z niemi bywało), „różne“ nieobecności kadry na w. f. (jej słaba strona), zato zdumiewającą punktualność wszystkich na posiłkach i t.d. i t.d., wszystko to było z humorem „odstawiane“ i z humorem przyjmowane na ogniskach. Były jeszcze innego rodzaju wyczyny artystyczne, jak: rewje, tańce, śpiewy (najczęściej utwory własnego „pomysłunku“), inscenizacje, improwizacje i inne historie w tym guście.

Miały jednak ogniska i części poważne, uroczyste, wzniosłe. Tak np. „ogniska regionalne“ zaczynały się zawsze na uroczysto i nastrojowo. Tu też wspomnieć należy reprezentacyjne ognisko w rocznicę „marszu kadrowej“ — z władzami, zaproszonymi gośćmi, Strzelcem, P. W. kolejowem i męskim obozem „Straży“ z Chmielna (o 6 km. od nas).

Poważne były również zakończenia ognisk: wspólne odśpiewanie „Brygady“, przyjętej za hymn organizacyjny przez „Straż Przednią“ i modlitwa, która z tego wzgórza zdawała się unosić wprost do stóp Stwórcy...

I nakoniec piękny moment pożegnania sztandaru. Zdawało mi się wtedy zawsze, że las, opasujący całe wzgórze powtarzał je wśród szumu i uwielokrotniał, że niósł to nasze „Sztandarowi cześć!“ coraz dalej i dalej, do innych lasów, do pól w dolinach i do cicho drzemiących jezior, gdzie głos setki młodych piersi rozplywał się powoli i zatapiał w falach, lecz nie ginął...

A obóz na Wzgórzu Wolności zalegała cisza.

Światła w domkach gasły, pozostawał tylko księżyc, zalewający całą polanę swą srebrzystą poświatą, świętojańskie robaczki, co migotały zwodniczo i dogasające ognisko.

Rozmowy zasypiających obywaterek też milkły wreszcie i ginęły w ciszy, przerywanej tylko łopotaniem sztandaru, co z wysokości masztu królował całej okolicy, i lekkim pogwarem kaszubskiego boru, co zda się, usiłował ukolysać nas do snu swemi opowiadaniem...

W. W. (VIII).

Z przeżyć na obozie pewiackim

„Hej tam na obozie,
pożal się, mój Boże!”

Dziś pada deszcz i trzępie o szyby. Ten odgłos taki znajomy, coś mi przypomina... coś, coś tak... a już wiem! Przecież to trzępanie deszczu o namiot! Pamiętam, w pierwsze dni obozu była pogoda jak „marzenie“, czyli że „deszcz lał i lał“. I wtedy zsuwało się kilka prycz razem, sadowiła się na nich cała drużyna, czasem pluton, a niekiedy i kompanja i jeśli wykładów nie było, to opowiadałyśmy sobie różne hece obozowe. Opowiadały zwykle stare pewiaczki, weteranki obozów, a czasem panie komendantki lub instruktorki. Podo- bały nam się wszystkie, lecz nadewszystko może lubiałyśmy gadki o alarmach lub inspekcjach. Co innego jest słuchać opowiadania o alarmie, a co innego przeżyć go. Słuchając, śmiejemy się z różnych „przypadunków“, a w czasie alarmu zapomina się o wszystkim, myśli się tylko o jednym — być pierwszą. A potem, gdy się zsumuje cały alarm, to... pożal się Boże! Tak było i z naszym.

Po obiedzie dostałyśmy rozkaz pójścia po kwiaty do wianków, które mamy puszczać w czasie sobótek w Spale. A więc poszłyśmy. Po długich szukaniach znalazłyśmy teren z mnóstwem kwiatów, lecz teren bardzo bagnisty. Więc zrywamy kwiaty, a jednocześnie zapadamy się powyżej kolan w błoto. Wróciłyśmy do obozu obciążone od stóp do głów kwiatami i skonstatowałyśmy brak dwóch beretów i jednego buta. Po złożeniu kwiatów przebrałyśmy się w kostjumy, by pójść się umyć po „kąpieli w błocie“. Robimy zbiórkę i odliczamy: „raz, dwa, trzy... dwanaście, trzyn... Już nie dokończyłyśmy, bo w tej chwili rozległ się głos trąbki, mnóstwo gwizdków i gong.

Zdębiałyśmy. Niemożliwe, teraz alarm? Nie, nie do uwierzenia! Stoimy w szeregu i żadna się nie rusza. Naraz usłyszeliśmy głos b. piskliwy, prawie płaczący:

„No, ruszać się, przecież alarm“. To poskutkowało. Szereg zachwiał się, załamał i znikł. Rzucam się do namiotu, wkładam mundur, skarpety na zablocone nogi, chwytam swę menażkę, wypadam z namiotu, ruluję, przywiązuję menażkę, pędzę do szeregu, stoję i odycham z ulgą. Poprawiam beret i przyglądam się reszcie. Co za bałagan! Jakieś koce, kubki, menażki, sznurki, a wśród tego uwijają się te ostatnie. Wiemy — lepiej nie mówić, ruchy nerwowe, berety poprzekręcane, niektóre w spodniczkach na lewą stronę, krawaty krzywo, och! godne litości.

Ogarnęła nas wesołość, zaczynamy się śmiać i dzielić wrażeniami: „wiesz, to wcale nie takie straszne“, „Ja myślałam, że gorzej będzie“ i t. p. Alarm trwał 8 minut. Po alarmie idziemy zadowolone pleść wianki i opowiadać sobie wrażenia poalarmowe. „Było dobre, ale za mało“.

Alarmów za mało, ale i wart za mało.

Warta, ach, warta! Warta to wszystko!

Wogóle nie wiem, czy może być coś bajeczniejszego nad wartę! Noc! ciemna, ponura, głucha, cicho wszędzie, tylko ciszę od czasu do czasu przerwie głos puhacza i znów cicho. Tylko ty chodzisz, dumasz i myślisz, i jesteś taka dumna, że już jesteś na tyle człowiekiem, że ci dają pieczę nad całym obozem! Boże! co za myśli wtedy przychodzą człowiekowi do głowy. „Coby to było, gdyby ktoś obóz napadł? A co jabym wtedy zrobiła? A co na toby ktoś powiedział?“ i różne, różne myśli. W tem rozmyślaniu tak się zapatrzyłam i zasluchałam, że nie zauważyłam, jak przy mnie stanęła jakaś postać i odzywa się do mnie: „hasło“! Spadłam ze szczytu Olimpu i już, już miałam powiedzieć to nieszczęsne hasło, ale przypomniało mi się, że wartownikowi hasła mówić nie wolno, tylko go żądać; więc pytam się: „a jakim to prawem, mój aniołeczku, żadasz hasła ode mnie? Może mi je powiesz? Nie? Tem lepiej, w grupie się rozmówimy, chodź kochanie“. Obleciał mnie humor jak nigdy, zapalam latarkę i zaglądam w twarz tej postaci. Źle mi się zrobiło — przede mną stoi komenda obozu. Ale opanowałam się szybko, staję na baczność i zaczynam meldować, ale komendantka mi przerywa, klepie mię po ramieniu i mówi: „dobrze, dobrze“.

Tak, dobrze!..., ale nie mnie, tak się wsypać, skandal; byłam najpewniejsza, że nazajutrz koca dostanę, a tymczasem p. komendantka obdarzyła mię tylko uśmiechem, ale uśmiechem... oj, nie da rady!...

Wogóle doszłam do wniosku, że do chwil najbardziej emocjonujących na obozie należy alarm i warta, a do najwięcej szczęścia dających — ogniska.

Ogniska na obozie są cudne! Płomienie są giętkie, elastyczne i takie gorące. Na widok języków płomieni, miałam zawsze wrażenie, że to stos serc gorejących i pałających jednym wielkim ogniem, ogniem ukochania swej idei gorąco i bezprzykładnie. I kiedy jeszcze w czasie ogniska śpiewa się takie różne piosenki, to się tak jakoś dziwnie, miękko robi koło serca i chciałoby się, by ta chwila trwała jaknajdłużej, a kiedy jeszcze p. komendantka mówi nam takie różne kochane rzeczy, to gdyby wtedy kazała nam pójść na koniec świata, tobyśmy też poszły. Wogóle żadna chwila na obozie tak nie jednoczy, nie zspala wszystkich, jak chwila wieczornego ogniska. Czasem to się tak człowiek zaduma, zamarzy, zaśpiewa, że zapomina o bożym świecie i kiedy ognisko dogasa, to wierzyć się nie chce, że to już, już koniec.

Tak cudne, śliczne, bajeczne są ogniska na obozie.

Baska W. (VIb).

Pożyczka Narodowa

Nadszedł czas, kiedy społeczeństwo polskie zostało powołane do złożenia egzaminu ze swojej obywatelskości i swojego ustosunkowania się do państwa.

Trzeba było zdobyć się na wielki, wspólny wysiłek, na ofiarny czyn, na pojęcie i zrozumienie obowiązku patriotycznego. Należało wykazać, że jesteśmy gotowi w każdej chwili służyć państwu, że każdy poszczególny obywatel potrafi zrozumieć, że on sam to nic — dopiero państwo to rzecz wielka, dla której trzeba złożyć wszystko w ofierze. Ukazał się dekret p. Prezydenta Rzpltej o wypuszczeniu wewnętrznej pożyczki, a wślad olbrzymie plakaty i afisze, reklamujące pożyczkę narodową. A potem?... Potem odruchy rozentuzjzowanego społeczeństwa, pochody, manifestujące radość, zapał i wielkie uznanie dla zbawiennej myśli pożyczki. Ciągnęły długie szeregi ludzi... Ludzi z różnych sfer, biednych i bogatych, szczęśliwych i nieszczęśliwych, złączonych jednak wspólną ideą. Społeczeństwo zdało dobrze egzamin ze swojej obywatelskości. Banki od rana do nocy zapełnione były tymi, którzy ofiarnie nieśli państwu pomoc, podpisując obligacje pożyczki narodowej. Młodzież szkolna i uniwersytecka, urzędnicy, kupcy i wszyscy inni obywatele kraju — wszyscy podpisali pożyczkę narodową. Każdy z największą dumą i radością nosi pięćdziesięciozłotowy znaczek pożyczki. Jest on świadectwem, wydanem na podstawie dobrze zdanego egzaminu obywatelskości. Pożyczka narodowa przyniosła przeszło 350 milionów złotych.

Obok olbrzymiego funduszu budżetowego, pożyczka narodowa spełniła jeszcze jedną doniosłą rolę: dała społeczeństwu poczucie siły i jedności. Przyniosła ona każdemu poszczególnemu obywatelowi głębokie zrozumienie przynależności państwowej i obowiązku narodowego. Patrzymy teraz w przyszłość jaśniej, pogodniej, weselej. Czujemy się na siłach podjąć jeszcze większy trud dla państwa. Przekonaliśmy się, że jesteśmy do czegoś zdadni, że mimo szarzyzny życiowej i ciągłego kryzysu umiemy zdobyć się na entuzjizm i ofiarę.

Możemy z dumą powiedzieć, że nasza Gmina Szkolna rozumiała również swój obowiązek obywatelski. Podpisałyśmy pożyczkę narodową na sumę 300 zł., który to fundusz powstał ze składek Spółdzielni (50 zł.) i wszystkich klas.

Otrzymałyśmy dyplom pożyczki narodowej Nr. 434049.

Sprawozdanie rachun- przy Gimnazjum im. Emilji Sczanieckiej

SPRAWOZDANIE

Przychód

	zł.
Na 1. VI. 1932 r. pozostało	111.42
Za zwrot pożyczek	1 309.50
Za sprzedane towary w sklepiku	1 401.39
Dochód z bułek i wafli	216.54
Udziały i wpisy	97.75
Z B. G. K. podjęto	900.—
Depozyty	80.50
Fundusz wycieczkowy podjęty z B. G. K.	113.50
	4 230.60

Sprawozdanie

	zł.
Na 1. VI. 1932 r. pozostało towarów za	688.02
W okresie obrachunkowym zakupiono towarów za	2 072.13
	2 760.15

Stan czynny

	zł.
Gotówka w kasie	42.31
Gotówka w B. G. K.	316.03
Dłużnicy	1 968.50
Towary	1 268.96
	3 595.80

Opiekunka: *H. Zaborowska*

Przewodnicząca Zarządu: *A. Leśniewska*

Kowe Spółdzielni

za okres od 1. VI. 1932 r. do 1. VI. 1933 r.

KASOWE

Rozchód

	zł.
R-ki „Naszego Sklepu“	783.13
R-ki „P. S. S.“	253.02
R-ki firmy „Ostrowski“	20.40
R-ki firmy „Fischer“	14.25
Pożyczki	1 696.50
Stypendjum „10-lecia Niepodległości“	300.—
Gotówka w kasie	42.31
Znaczki szkolne	120.—
Do B. G. K. wniesiono	693.81
Procent Gminie	51.58
Subwencja dla „Kółka Dramatycznego“	80.—
Na fundusz dla dzieci polskich zagranicą	10.—
Wydatek nadzwyczajny	25.—
Przekazanie funduszu wycieczkowego Gminie Szkolnej	113.50
Wydatki kancelaryjne	2.10
Ogłoszenie sprawozdania w „Młodzieńczym Locie“	25.—
	4 230.60

ze sklepiku

	zł.
W okresie obrachunkowym sprzedano za	1 401.39
Przy remanencie obliczono towarów za	1 268.96
Na zniżkę cen	44.—
Na odpisy	45.80
	2 760.15

Stan bierny

	zł.
Udziały	846.75
Fundusz społeczny	2 311.18
Wierzyciele } Kl. VI b	40.50
} Kl. IV a	40.—
Zysk z bułek i wafli	216.54
Zysk ze sklepiku	140.39
	3 595.80

Skarbniczka: *T. Rodewaldówna*
Sekretarka: *D. Grzesiakówna*

Koleżanki!

Ogłaszamy

KONKURS

bez nagrody

na projekt estetycznej okładki do „Młodzieńczego Lotu“.

Warunki konkursu: 1. Styl nowoczesny. 2. Jedno- lub dwubarwność projektu. 3. Praca musi być podpisana pełnym imieniem, nazwiskiem i klasą. 4. Prace należy składać do dnia 1. XI 1933 roku na ręce redaktorki nac.

Jesteśmy przekonane, że chociaż konkurs jest bez nagrody, a może właśnie dlatego nadesłacie nam dużo pięknych projektów. Wiemy z doświadczenia, że lubicie wszelkiego rodzaju konkursy i chętnie bierzecie w nich udział. Wiemy także, że zależy Wam na tem, aby Wasz „Młodzieńczy Lot“ robił swoją zewnętrzną szatą miłe wrażenie. I dlatego... konkurs się uda!

— | — | —

Ponieważ jednak nie wszystkie koleżanki mają zdolności do malarstwa, ale wszystkie pragną utrzymać aktywny kontakt z Redakcją swojego pisemka, ogłaszamy drugi

KONKURS

Należy podać trzy nazwiska najbardziej lubianych autorów i w paru słowach uzasadnić wybór. Kto da odpowiedź najbardziej zbliżoną do wyników głosowania otrzyma w nagrodę.....?

— | — | —

A może którą z Was zainteresuje pytanie: ile też Redakcja otrzyma prac, nadesłanych na konkursy? Pomyślcie, może zgadnicie. Jedna z Was, która poda liczbę najbardziej zbliżoną do rzeczywistości otrzyma wszystkie numery „Młodzieńczego Lotu“ od pierwszego począwszy.

— | — | —

Redakcja już widzi roześmiane twarze tych, które z ochotą zacierają się do roboty... i aż ręce zaciera i skacze do góry z radości na myśl o tem, jak to się skrzynka redakcyjna zapełni pracami konkursowymi.

Hurra! Konkursy udały się!.

Za Redakcję Dr. R. Pachucka.

Wydawca: Gmina Szkolna

Skład Redakcji „Młodzieńczego Lotu“: Redaktorka Naczelna: Stępieniówna Stefanja. Kierowniczkki poszczególnych działów: Nowakowska Halina, Wodzinowska Barbara, Gelermanówna H., Koralczykówna Sabina, Wilmańska Walerja, Kabanówna Krystyna, Hyczkówna Lydja. Dział najmłodszych prowadzi: Luczkowska Jadwiga i Kopczyńska Barbara.

Redakcja i Administracja: Gimnazjum Żeńskie
im. E. Szanieckiej — Łódź, Pomorska Nr. 16

Cena pojed. numeru 70 gr.
Prenumerata 50 gr.

Drukarnia Ludowa w Łodzi, ul. Piotrkowska 83.